

Sahara – Wielki Erg Wschodni – zima 2010

Lato minęło pod znakiem eksplorowania pięknych zakątków Polski. Pyszne były spływy Wisłą, Prądnikiem, Czarną Nidą, Kanałem Oberlandzkim. Pontonem, kajakiem, jachtem. Tatry oczarowały mnie ponownie. Ze wzruszeniem dotarłem po dobrych dwudziestu latach nad Morskie Oko, by cieszyć się z moim synem pięknym widokiem na Mnicha. Niezapomniane są chwile, kiedy z Bubą wrzucamy kamienie do tatrzańskiego potoku. Wyjazd kolejką na Gubałówkę, na Szyndzielnię, atrakcja pogardzana przeze mnie jeszcze do niedawna, nabrała nowego wymiaru. Kupiłem Bubię książeczkę GOT i zbieramy punkty, by zdobyć odznakę. Cieszymy się pierwszym śniegiem. Jesienią zjeżdżamy na Równicy kolejką grawitacyjną.





W wolnych chwilach uciekam na ukochane Krzyżne, na Zawrat, do „Pięciu”. Przez Maciejową, Stare Wierchy maszeruję na Turbacz. Gdy spadł pierwszy śnieg, kupiłem biegówki i zdążyłem złamać kija w Ojcowie. Przychodzi późna jesień, koledzy globtroterzy uaktywniają się. Gdy wróciłem z Kaukazu, Arek śle pozdrowienia z Sahary Zachodniej, Florian przesyła piękne zdjęcia z Erg Chebbi. Decyzja zapada szybko. Zamawiam stertę map, roadbooków i przewodników po wschodniej Saharze. Sahara przyciąga. Pustynia uzależnia. Jest jak kochanka. Każę wracać do siebie. Jest zazdrosna. Kusi. Nie daje spać po nocach.

Akcja sprzęgło

Hilux spakowany. Przez zaśnieżoną Słowację i Austrię ruszam w kierunku Genui, skąd prom ma zabrać mnie do Afryki. Na drogach wojna. Pług nie są w stanie odśnieżyć głównych autostrad. Pod granicą włoską, czwórka nie nabiera mocy, kłopoty z redukcją biegu. Jeden tele-

fon w piątkową noc do Jacka rozwiewa wątpliwości. Pan Filip z Krakowa potwierdza: Sprzęgło do wymiany! Jak to, przecież tuż przed wyjazdem w ramach rutynowego przeglądu gwarancyjnego autoryzowany dealer Toyoty potwierdził, że sprzęgło jest w porządku. Specjalnie pojechałem do salonu, przepłaciłem za przegląd, by upewnić się, czy sprzęgło, nadwyrężone w tym roku na Saharze i na Kaukazie działać będzie bez zarzutu, gdy wrócę na pustynię. Pracownicy krakowskiego dealera Toyoty okłamali mnie. Bezcelnie nie sprawdzili nic i stwierdzili, że sprzęgło działać będzie bez zarzutu. Oszuści. Nieudacznicy życiowi. Gdy zjawiasz się w salonie, informują, jak im się źle pracuje, jak im szef urlopu nie daje i zazdroszą pięknych wypraw. Toyotę rekomenduję, jako markę samochodu offroadowego, ale jak najgorsze mam zdanie o salonach samochodowych, o przeglądach. Naciągacze i Oszuści. Próba skontaktowania się z nimi w piątkowy wieczór nie powiodła się. Podobnie z Toyotą w Austrii. Automatyczna sekretarka informuje, że ma Cię w dalekim powołaniu do poniedziałku do 9.00. Na szczęście istnieją małe rodzinne warsztaty. Pan Filip zapewnia, że we wtorek po południu nowe oryginalne sprzęgło Toyoty będzie zamontowane i mogę ruszać na pustynię. Dramatyczna decyzja o powrocie podjęta zostaje błyskawicznie. Prom telefonicznie da się przebookować na środę. Święty Mikołaj w ośnieżonej Polsce ma swoją magię.








Profesjoniści

Na promie spotykam dwóch Austriaków. Gadźeciarz ma nowiutkiego Rubikona (po ostatniej eskapadzie na piach musiał wymienić silnik w ramach gwarancji). Gość (właściciel internetowego sklepu 4x4) jedzie na Saharę na czterech błotnych oponach, które pozwalają mknąć na europejskich autostradach 100 km/h w ogromnym huk. Na dachu maleńkiego samochodu zamontowany nowiutki ogromny namiot dachowy w plastikowej obudowie, która wystaje ok. 30 cm przed przednią szybę nadając wehikułowi dziwne właściwości aerodynamiczne. Obok 60-litrowego baku (uzbrojona fura pali 16l/100 km) trzy kanistry. W kabinie unosi się z nich smrodek diesla. Przed wjazdem na prom, Austriacy widząc mojego hiluxa, żartują sobie ze zwykłych opon, w które „obuty” jest mój wehikuł. Na statku chwają się najnowszym sprzętem do nawigacji: nowoczesny telefon połączony z systemem nawigacyjnym renomowanej firmy, spięty elektronicznie z wirtualnymi mapami Sahary zapisanymi na kompute-





rze przenośnym zainstalowanym w kabinie. Pytam się, co się stanie, gdy elektronika im nawali, gdy piach zasypie delikatny sprzęt. Czy mają mapy papierowe i kompas. Dowiaduję się, że technika nie może zawieść. Chłopaki chwala się elektronicznymi mapami, ja pokazuję im swoje papierowe. Koło północy zaczynają mieć wątpliwości, gdy dowiadują się, że mój samochód pali 10-12l/100km, gdy widzą, że mój papier jest dokładniejszy od ich elektroniki. Gęby rozdziawiają widząc w moich rękach profesjonalnego (austriackiego!) roadbooka składającego się ze strzałek, kropek i współrzędnych gps. Nie wiedzą, co to. Przyznają rację, że moje, łysawe już opony są na piachu lepsze od ich nowiutkich z dużym bieżnikiem. Im dalej od Europy i im bliżej Afryki, gadżeciarzom brakuje pary w gwizdku. Pierwszy nocleg miał być na plaży. Ale tam psy podobno ujadają. Kolejna propozycja to przemierzenie interioru z nami i nocleg gdzieś na stepie pustynnym. Ale w nocy pełno ciemnoskórych Arabów chodzi po drogach i stwarzają realne niebezpieczeństwo dla Europejczyka. Tuż przed afrykańskim portem chłopaki mają już upatrzony hotel. Podczas ostatniego spotkania na granicy dowiaduję się, że Czarny naciągnął ich na opłatę za wskazanie okienka, w którym mogli się odprawić. Nie znają francuskiego. Ciężko im będzie.

Długa droga na Saharę

Przejazd na Saharę jest prosty: Autostradami z Krakowa do jednego z portów (Genua, Sete, Algeciras, Gibraltar, od 14 do 36h), potem prom (od 30 min. do 48h), a na koniec jeszcze kilkaset km do pustyni. Promy są różne. Ten, którym płynąłem teraz, to wielki prom wożący niegdyś bogatych pasażerów na ciepłych destynacjach. Teraz wozi mieszkańców północnej Afryki do Europy. Zamiast wykwintnej restauracji bar serwujący proste dania, basen zamieniony na palarnię, fitness room na magazyn pościeli. Inne, gorsze czasy idą, nawet włoskie restauracje przy autostradach zamieniono na bazarki. Ostatni odcinek przed Saharą, już na terenie Afryki, czasem zaskakuje. Z portu w Tunisie i z północnomarokańskich portów do wydm dojeżdża się autostradami trzypasmowymi! Dopiero potem zaczyna się pustynia. Nawet czarni potrafią zbudować drogi. A z Krakowa do Poznania najszybciej przez Łódź, bo przez Wrocław jedzie się jak na Kaukazie. A do Szczecina przez Berlin, bo przez zachodnią Polskę prowadzą dróżki jak w – w każdym razie nie jak w Afryce, przynajmniej nie w tej północnej, nie jak na Bliskim Wschodzie i nie jak w Azji. No, jak w Polsce!



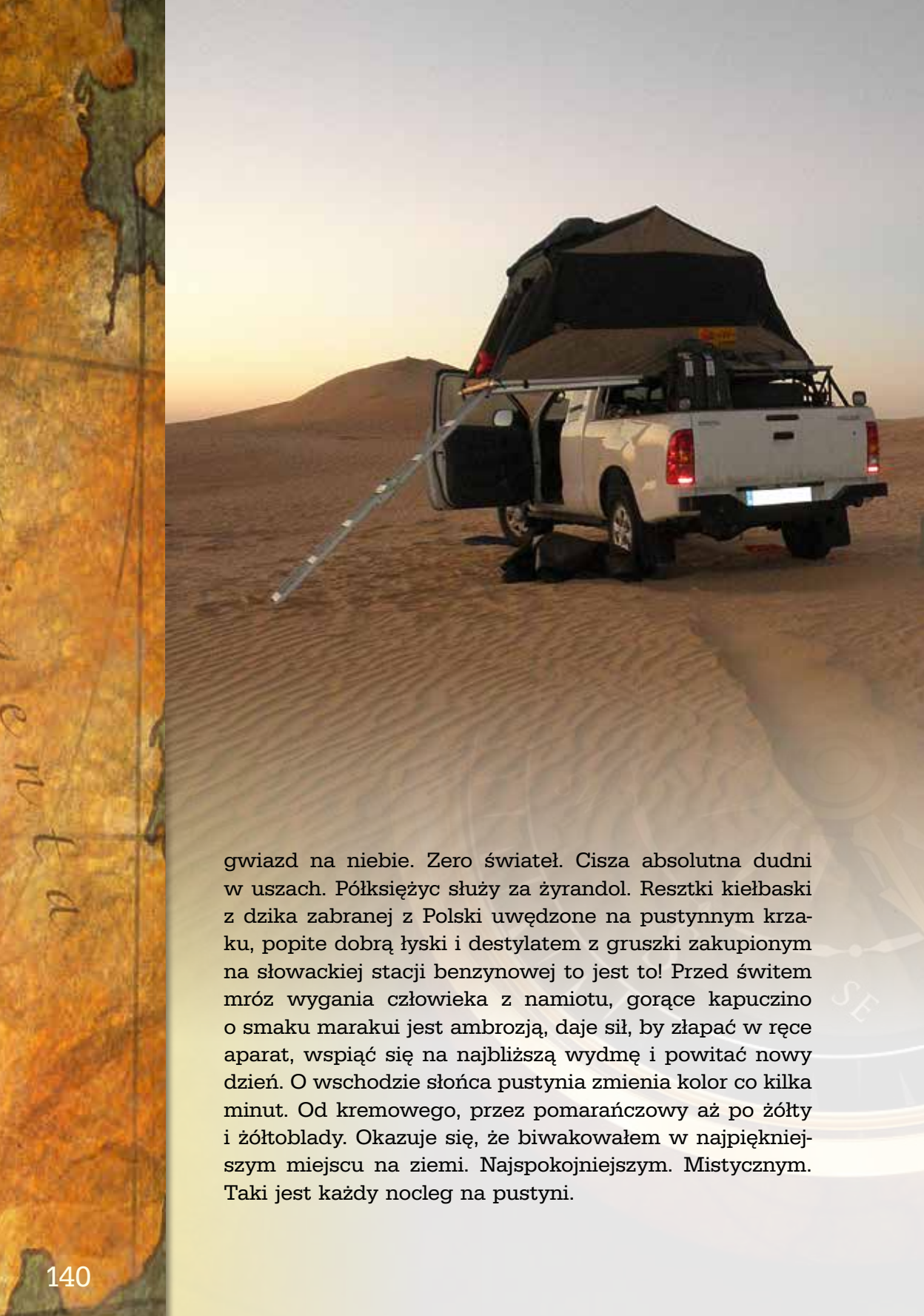
Niemieckie mapy

... są najlepsze, przewodniki najbardziej precyzyjne, a roadbooki ratują życie w trudnym pustynnym terenie. Chapeau bas niemieccy podróżnicy - autorzy tych cudów!

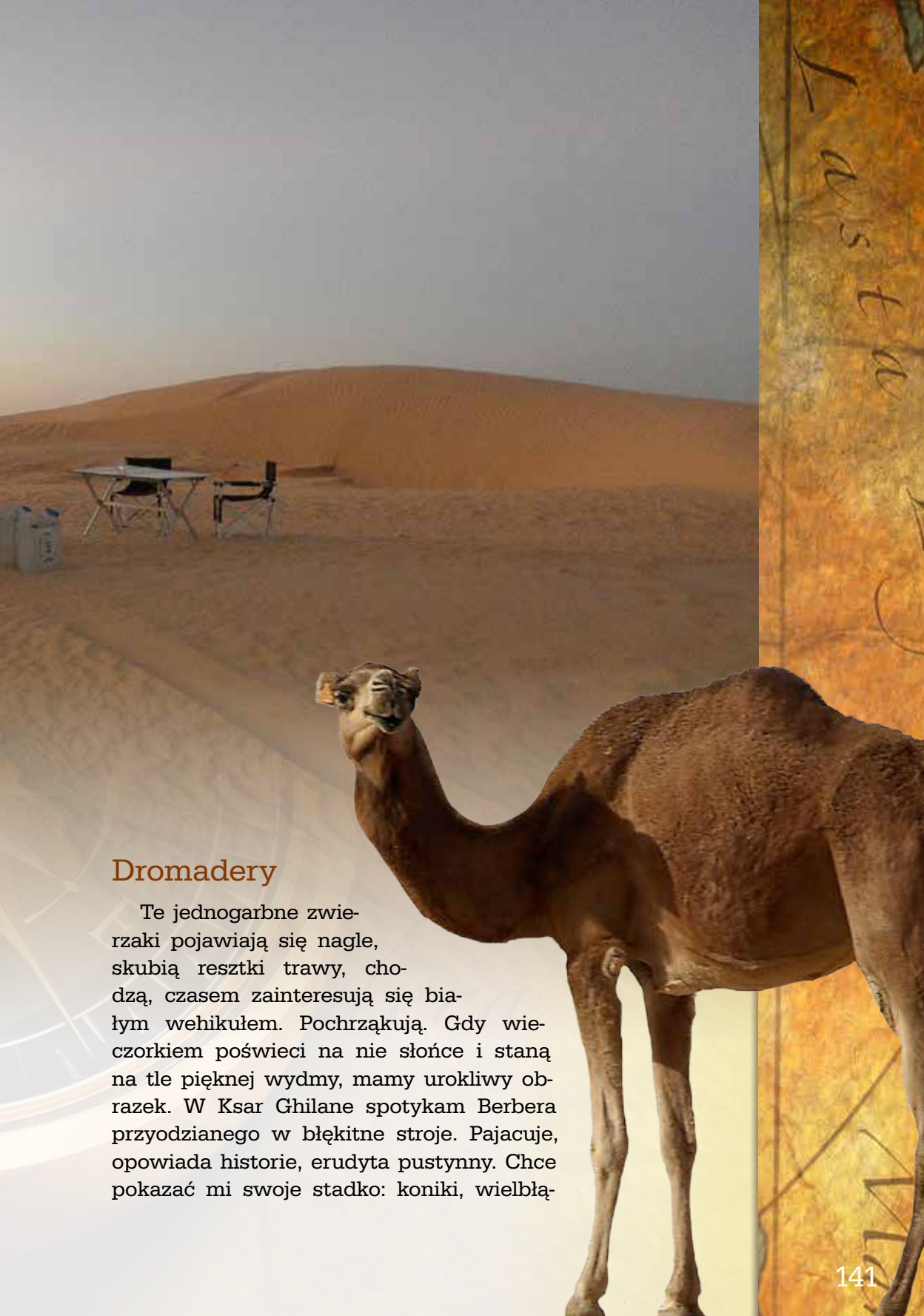
Nocleg na Saharze

Dzień jest krótki. Zbliża się wieczór. Step przechodzący w pustynię bez końca. Do następnego waypointa 20km. Coraz więcej piachu, małe wydmy pokonuję jadąc ledwie widocznym śladem kogoś, kto tu jechał kilka dni temu. Nagle ślad znika, chwila niepewności i ... bach w piach! Po półgodzinnym kopaniu, podnoszeniu wehikułu liftem, podkładaniu trap, wycofuję go na twarde gruntu. Nie wiem gdzie stanąłem, nie wiem, co jest wokół mnie. W pięć sekund rozbijam namiot. Gorąca herbata, wszak temperatura gna w kierunku zera. Latarka, maczeta, okoliczne krzaki służą za opał. Piękne pustynne ognisko. Milion





gwiazd na niebie. Zero światel. Cisza absolutna dudni w uszach. Półksiężyc służy za żyrandol. Resztki kiełbaski z dzika zabranej z Polski uwędzone na pustynnym krzaku, popite dobrą łyśki i destylatem z gruszki zakupionym na słowackiej stacji benzynowej to jest to! Przed świtem mróz wygania człowieka z namiotu, gorące kapuczino o smaku marakui jest ambrozją, daje siłę, by złapać w ręce aparat, wspiąć się na najbliższą wydmnę i powitać nowy dzień. O wschodzie słońca pustynia zmienia kolor co kilka minut. Od kremowego, przez pomarańczowy aż po żółty i żółtoblady. Okazuje się, że biwakowałem w najpiękniejszym miejscu na ziemi. Najspokojniejszym. Mistycznym. Taki jest każdy nocleg na pustyni.



Dromadery

Te jednogarbne zwierzęta pojawiają się nagle, skubią resztki trawy, chodzą, czasem zainteresują się białym wehikułem. Pochrzakują. Gdy wieczorkiem poświeci na nie słońce i staną na tle pięknej wydmy, mamy urokliwy obrazek. W Ksar Ghilane spotykam Berbera przyodzianego w błękitne stroje. Pajacuje, opowiada historie, erudyta pustynny. Chce pokazać mi swoje stadko: koniki, wielbłą-





dy. Głównym punktem odwiedzin w jego domostwie jest żona, młoda blondynka z Kanady, której każe się pokazać i zaraz potem wracać do czyszczenia kibli. Dumny jest Czarny, że ma Blondynkę. Jedyłą we wsi. On.

Z duszą na ramieniu

Jazda samochodem po pustyni to trudna sprawa. Brak jest dróg. Roadbook pokazuje wyłącznie współrzędne, do których trzeba dotrzeć. A przede mną pasmo wydym. Kilka dni temu ktoś tędy jechał. Zostawił ledwie widoczne ślady, które na samej górze znikają. Włączam napęd na cztery koła, jedynka, gaz do dechy. Samochód zaczyna płynąć, wspinać się po wydmach. Silnik wyje w niebogłosość, snorkel syczy zaciągając powietrze do silnika. Góra-dół, góra-dół. Coraz wyżej i wyżej. Gdy wyjeżdżam na wydymę, maska zasłania mi stromy zjazd w dół. Następuje chwila niepewności. Gdy zaczyna opadać i widać następne kilka



*L
a
s
t
a
M*





metrów, już trzeba dać gaz do dechy, by nie zakopać się w piachu, by wyfrunąć na kolejną wydmy. W pewnym momencie okazuje się, że nic poza jeszcze wyższymi wydmy nie widać. Zatrzymać się nie wolno. Zwolnienie pojazdu oznacza wiele godzin z łopata, liftem i trapami. Z duszą na ramieniu trzeba pędzić przed siebie. Gdy z daleka widzimy twarde kawałek terenu, dostajemy ochoty do życia, teraz już płynnie, bez zacięć, do celu. Zostawiamy samochód na niskich obrotach, przecieramy pot, który nas zalał ze strachu. W drodze powrotnej z położonej pośrodku pustyni magicznej góry Tembaine jest już późne popołudnie. Na czubku małej wydmy staję wehikułem, by zrobić zdjęcia. Zadowolony wracam do pojazdu, ruszam i zamiast jechać do przodu zapadam się w dół. Po godzinie ciężkiego kopania i podnoszenia samochodu można jechać dalej. Pustynia nie lubi cwaniaczków, nie akceptuje brawury. Wymaga spokoju, determinacji, konsekwencji. Nie toleruje zawahania. Po piasku trzeba jechać na najwyższych obrotach. Samochód musi płynąć po wydmach, zsuwać się w dół i wylatywać na górę, ślizgać się miękko w wirażach, przeskakiwać ostre krawędzie bezpiecznie opadając w dół. Chwila zawahania powoduje, że samochód zaczyna się zapadać, koła już nie pracują płynnie, czujemy, że samochód traci moc. To najgorszy moment. Pozostaje tylko modlić się, by ukształtowanie terenu pozwoliło nabrać bezpiecznego pędu, by móc wprowadzić pojazd w kontrolowany ślizg. Gdy wieczorem docieramy do oazy Ksar Ghilane, odnajdujemy w niej sadzawkę z bijącym źródłem gorącej wody. Ponieważ na dworze wieczorem jest zaledwie kilka stopni Celsjusza, kąpiel jest

pyszna. Arab przynosi plastikowy stolik, odwraca go i stawia na wodzie do góry nogami. Kładzie na niego sziszę, przynosi szklaneczki z gorącą miętową herbatą.

Pod palmą widzę szałas, w którymś kiedyś był bar. Zapytałem Araba, czy coś mu zostało po starych dobrych czasach. Ten przybiega z litrową butelką 18-letniego Chivasa. My po tygodniu tułaczki i biwakowania na pustyni spragnieni byliśmy mocno. Wszak już na promie uszczupiliśmy nasze zapasy. Siedem biwaków o suchym pysku spowodowało, że wdaliśmy się w gadkę z mieszkańcem oazy. Gdy zapytaliśmy o cenę butelki, przyniósł wielki kalkulator i zaczął przeliczać cenę kieliszka na całą butelkę. Wyszło mu ponad 700 euro! Obydwaj wyszliśmy z wody i zaczęliśmy na niego krzyczeć. Gdy zawołał swojego szefa, cena zeszła do 500 euro. Dobiliśmy targu. Był to, poza podobnym trunkiem w londyńskim City po sztormowym rejsie przez Morze Północne najdroższy alkohol, który piłem na wyprawie.

Za chwilę na niezwykłym stoliku pojawił się litrowy chivas. Rozkoszne podsumowanie długiego dnia pełnego pustynnych wrażeń. Życie jest piękne.

Nazajutrz z lekkim bólem głowy wyruszyliśmy w drogę powrotną. Po 40 minutach walki z piachem na wydmach zatrzymałem wehikuł i spojrzałem na mojego towarzysza. Myśleliśmy o tym samym. Zawróciliśmy do oazy, wskoczyliśmy do bajora, kupiliśmy jeszcze jedną butelkę, a podróż powrotną kontynuowaliśmy dopiero następnego dnia.

